Wydawnictwa rok VI
Dnia 19 sierpnia 1928 r.

Nr. 259

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Mowy Komendanta

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54.
Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

FANTASTYCZNOŚCI DOMYSŁÓW, które otaczały zjazd wileński, a zwłaszcza zapowiedziane przemówienie Komendanta, przez tylu oczekiwane, jako „zwrotny etap" naszej polityki wewnętrznej, „moment historyczny", — kto wie, czy nie nowy jakiś „zamach stanu", rojony w trwożliwej wyobraźni ludzi, których zasadniczem zajęciem jest uporczywy pesymizm i „kręcenie nosem", fali plotek i zgoła jawnych bzdurstw odpowiedziało, generalne rozczarowanie, kiedy okazało się, że wogóle komendant „nie poruszał tematów politycznych". To, co stanowiło treść przemówienia, jednego z piękniejszych jakie znamy, wzoru artyzmu i plastyki mówionego słowa, mnóstwo myśli głębokich, depuicyj arcymisternych, — to wrzystko nie obchodziło ludzi łaknących sensacyj, rewelacyj, których mimo iż obawiano się ich skrycie — przecież oczekiwano dla samego bodaj dreszczu emocji, czy rozkoszy „biadania" nad losem „biednej Polski"... Tych ludzi spotkał oczywiście gorzki zawód. Ale jakże hojny dar otrzymali od Komendanta ci wszyscy dla których wrażliwość serca wodza była tak niedostępną kartą jego dziejów, tajemnica przeżycia jego ukryta przed okiem świata. Tych, którzy słuchając mowy Komendanta doznali rozkoszy współżycia z nim w tych drobnych okruchach jego przeżyć i przemyśleń, ominęły „rozczarowania". Ponad miarę wynagrodziło ich hojne w tej „godzinie wileńskiej" serce Komendanta.

***

PRZYKREGO FIGLA SPŁATALI NIEMIECCY SOCJALIŚCI swym towarzyszom z amsterdamskiej Międzynarodówki. Nie przebrzmiały jeszcze echa przemówień Vanderveldego i de Brouckère'a o pokojowości Rzeszy Niemieckiej, której dowody dają Niemcy przy każdej okazji, nie zamilkły jeszcze oklaski, któremi na brukselskim zjeździe socjalistycznym obdarzano mówców, żądających ewakuacji aljantów z Nadrenji, gdy składający się w większości z socjalistów i demokratów gabinet berliński powziął jednogłośnie uchwałę o budowie nowego pancernika. Zadziwiająca jest ta nagła zmiana poglądów leaderów lewicy. Trzy tygodnie tworzył socjalista Müller swój gabinet i stale rokowania między partjami przerywały się, gdy tylko wypływała sprawa budowy pancernika. Trzy tygodnie głowili się politycy niemieccy nad tem, jakby tę trudną kwestję pominąć przy tworzeniu wspólnej platformy rządowej. Stanęło wreszcie na tem, że ów węzeł gordyjski pozostanie nadal nierozwiązany. Dopiero na jesieni rozstrzygniętoby tę trudną kwestję. Zupełnie nieoczekiwanie minister Groener stawia tę sprawę na porządku dziennym rady ministrów, która przekonała się, że odpowiednie fundusze na budowę pancernika uzyskać można z oszczędności w innych dziedzinach, nie naruszając równowagi budżetowej", i — budowę uchwaliła. Głosowali za tem i locarneńscy centrowcy i pacifiści-demokraci i walczący o powszechne rozbrojenie socjalni demokraci niemieccy. Tak wygląda rzeczywista pokojowość Niemiec, której nie usprawiedliwi półurzędowa wymówka, że chodzi o wykonanie zapadłej już w poprzednim Reichstagu uchwały. Wolne żarty! Wybory majowe dały tak poważne zwycięstwo lewicy, że bez trudu uzyskanoby w parlamencie reasumpcję owej uchwały. Zresztą czas nie naglił: czemu rząd niemiecki nie zaczekał na najbliższą sesję Reichstagu, czemu zasiadający w rządzie przywódcy socjal-demokratów i innych grup demokratycznych nie odnieśli się do swych wyborców, do swych partyj wreszcie? Słusznie więc twierdzi uchwała hamburskiej młodzieży demokratycznej, że ministrowie lewicy decyzją swą przekreślili wynik kampanji wyborczej, którą wszak prowadzono pod sztandarem walki o pokój. Ministrowie lewicy zawiedli więc zaufanie swych wyborców i powinni zapytać nowy Reichstag, czy podziela zdanie rządu w sprawie pancernika. A oszczędności budżetowe, powiadają hamburscy przeciwnicy zbrojeń, przydałyby się w wielu innych dziedzinach gospodarstwa Rzeszy. Co się w Niemczech zmieniło po wyborach, skoro demokracja z taką łatwością ustępuje wojującemu nacjonalizmowi? A jak tam z ewakuacją Nadrenji, panowie socjaliści belgijscy i francuscy?

***

SFAŁSZOWANY LIST omal nie wywołał poważnego kryzysu gabinetowego na Łotwie. Ryskie pismo opozycyjne „Jaunakas Zinias" umieściło odbitkę listu skierowanego przez dyrektora szwedzkiego trustu zapałczanego Fröandera do reprezentanta tegoż trustu w Rydze, inżyniera Babusa. W liście tym jest mowa o kilkudziesięciu tysiącach dolarów, doręczonych rzekomo ministrowi skarbu Liepinszowi oraz byłemu ministrowi Birsnekowi, wzamian za obietnicę przyczynienia się do wprowadzenia na Łotwie monopolu zapałczanego. Jak wiadomo bowiem, rząd łotewski zawarł już ze szwedzkim trustem układ o dzierżawę monopolu, który wszakże, dzięki opozycji socjalistów, nie został dotąd uchwalony przez sejm. Zbliżające się wybory do parlamentu, rozwiązanie przez rząd komunizującej centrali związków zawodowych, ostry antagonizm partyjny — wszystko to wytworzyło na Łotwie wiele materjału łatwopalnego. W ten nagromadzony stos paliwa wrzucił „Jaunakas Zinias" — „szwedzką zapałkę", i jedynie ostrożności wykazanej przez premjera Juraszewskiego, zawdzięczać należy rozwikłanie tej drażliwej sprawy. Minister Liepinsz, który, rzecz oczywista, najkategoryczniej zaprzeczył wszelkim pomawianiom go o korzyści materjalne, ze względów formalnych zawieszony został na kilka dni w czynnościach. Przeprowadzone tymczasem śledztwo stwierdziło z zupełną pewnością, iż list Fröandera został sfałszowany. Ani nadawca, ani adresat o liście nic nie wiedzieli. Rzeczoznawcy grafologji skonstatowali, iż podpis na liście został sfałszowany, drukarze stwierdzili, że blankiet szwedzkiej firmy nie odpowiada innym blankietom, przez firmę używanym, zaś pewien lingwista znalazł w niemieckim tekście owego listu wiele błędów stylistycznych, dowodzących łotewskie pochodzenie autora. Przyparta do muru redakcja dziennika „Jaunakas Zinias" przyznała się, iż pochodzenie listu nie jest jej wiadome. Znaleziono go w kopercie w redakcyjnej skrzynce do listów. Oczywiście, redaktor dziennika pociągnięty został do odpowiedzialności sądowej. Ale co będzie z monopolem zapałczanym?

***

BRUKSELSKI KONGRES MIĘDZYNARODÓWKI SOCJALISTYCZNEJ zbiera się obecnie w lepszych dla socjalistów warunkach, aniżeli poprzedni marsylijski. Wielka fala, która po wojnie wyniosła socjalistów wielu krajów na wyżyny, poczęła wówczas opadać. Lewicowy kartel francuski rozchwiał się, rząd Labour Party w Anglji upadł, w Niemczech socjaliści odsunięci byli od udziału w rządach przez narastające nastroje reakcyjne, faszyzm i komunizm świeże jeszcze święciły triumfy, w krajach skandynawskich wybory przyniosły zwycięstwo prawicy społecznej, protokół genewski zmarł, zanim zdążył się narodzić, — słowem socjalizm znajdował się w defenzywie, opuszczając niedawno zdobyte pozycje. W Europie górowała reakcja. Powoli jednak sytuacja socjalistów w poszczególnych krajach poczęła się poprawiać. Wybory komunalne i ogólnokrajowe, jeśli nie utrzymują dotychczasowego stanu posiadania socjalistów, to go znacznie polepszają, przejściowe rządy socjalistyczne w krajach skandynawskich i bałtyckich wywarły potężny wpływ na następne gabinety, wreszcie — w rezultacie walnego zwycięstwa socjalnych demokra-

tów w Niemczech, na czele Rzeszy staje gabinet koalicyjny o wybitnie socjalistycznem zabarwieniu. Fakt ten skłonił zapewne Vandervelde'go i de Brouckère'a, reprezentantów kraju, który od wojny najbardziej ucierpiał i który najgorzej odczuł but pruskiego feldfebla, do wygłoszenia przemówień, żądających natychmiastowej ewakuacji okupowanych terenów niemieckich przez wojska aljanckie. Socjaliści belgijscy walczą dla Müllera, Breitscheida i Hilferdinga o to, czegoby z pewnością odmówili Marxowi i Lutherowi. Niewątpliwie wierzą oni szczerze w pokojowe tendencje swych towarzyszy z za Renu. Jeśli jednak chodzi o Polskę, to nawet socjaliści niemieccy wykazali zbyt mało dobrej woli, abyśmy mieli przyklasnąć wycofaniu się aljantów z nad reńskich prowincyj, bez udzielenia poważnych gwarancyj, o których mówił w Paryżu minister Zaleski.

***

ROZŁAM W KUOMINTANGU, sądząc z nadchodzących wiadomości, jest nieunikniony. Zdawałoby się, iż po odniesionem zwycięstwie i zjednoczeniu wszystkich niemal chińskich prowincyj pod sztandarem republikańskim, nacjonaliści chińscy dojdą wreszcie do porozumienia. Tymczasem względy klasowe i terytorjalne przeważają wolę rewolucjonistów do utworzenia potężnych i wolnych Chin. Gdy więc z jednej strony poszczególne prowincje, jak Kanton i Szanghaj, żądają autonomji finansowej i uniezależnienia skarbu niektórych okręgów od ogólno-chińskiego, z drugiej strony komunizujące skrzydło Kuomintangu nalega na wprowadzenie ustroju sowieckiego na wzór istniejących w Hankou i Pekinie sowietów. W rezultacie chaosu, który się wytworzył w Nankinie, jednocześnie zgłosili swe dymisje: minister skarbu Sung, uważany za wielkiego reformistę ekonomicznego, minister spraw zagranicznych dr. Wang, któremu radykałowie nacjonalistyczni zarzucają zbytnią ustępliwość względem państw obcych — i wreszcie szef politycznego Kuomintangu generał Jen-Hsi-Szan. Czang-Kai-Szek usiłuje wpłynąć na lewicowców, aby odstąpili od swych skrajnych postulatów, tymczasem zdradliwy i przebiegły Feng przygotowuje ponoć nowy przewrót „dyktatorski". Wiele jeszcze krwi przeleją chińczycy, zanim wzniosłe zasady Sun-Jat-Gena wprowadzone zostaną w życie.

MOWY KOMENDANTA NA ZJAZDACH LEGJONOWYCH

Dla obcych mowa Komendanta była zjawiskiem osobliwem.

Któż dziś z polityków, na których obróciły się oczy świata — w przededniu konferencji, mającej rozstrzygnąć spór zawiły — przemawiać się odważy jak poeta, jak czarujący gawędziarz, jak myśliciel z oddaleń samotnej zadumy najczulsze drgnienia duszy rozważający?

Na nieme zapytanie obcych i swoich odpowiedzią jest gawęda, tryskająca humorem i liryką pełną prostoty, zdradzającą trójdenną głębię uczucia. Jednakże przekorna gawęda o lingwistyce i o wspomnieniach najmilszych, z których poduszkę do trumny się kładzie, nie pozostawiła żadnych złudzeń co do stanowiska Polski w sprawie wileńskiej. Przez sam fakt gdzie była powiedziana, kiedy i z jakim akcentem lirycznym, stała się politycznym aktem.

Na tak osobliwe przekorne sposoby może sobie pozwolić tylko twórca, człowiek niczyich śladów nie depcący, poeta i wielki gracz.

Mowa wileńska każe przypomnieć, zastanowić się nad przemówieniami Komendanta z innych zjazdów legjonowych.

W czasach usunięcia się od władzy w ponurych latach samotni zjazdy legjonowe były jedyną trybuną, z której rozlegał się głos uwięzionego przez karłów olbrzyma.

Przywykło się tedy i w czasie powrotu Marszałka do rządów, czekać od mowy Komendanta na zjeździe legjonistów oświadczeń rzucających światło na samotne drogi jego myślenia, na przyszłe tak ważne dla państwa decyzje. Ale tak nie przemawia rezoner-statysta. Fakt mówienia do swoich najbliższych, do ulubionej wiary i towarzyszy broni z czasów bohaterskich, najmilej wspominanych przemienia mowy te w gawędę wodza, pełną szczerości przedziwnej i miłości ojcowskiej. Niejednokrotnie w mowach z 7 zjazdów legjonowych wyrażał Komendant swój stosunek do legjonistów, ich rolę dziejową.

Wdzięczny im jest i dumny, że ich dziełem było „podniesienie godności narodowej"; oni byli jedyną ich reprezentacją", gdyż „Legjony zdecydowały inaczej niż cała Polska", „w wahaniach zórz wieczornych i porannych stając się nowatorami znaleźli odwagę czynu i działania, przeszkód nie uznając za przeszkody".

Kocha za „palmę pierwszeństwa" owego „Kopciuszka - leguna", „na którego plecach wyrodne siostry pięły się do zaszczytów", dla jego legendy podbija kolejno wszystkie miasta w których zjazd legjonowy się rozgości: Kraków, Kielce, Lublin, Lwów i ową niewdzięczną stolicę — kłamstwa — Warszawę i dalekie umiłowane „miłe miasto" — Wilno.

Legenda rośnie, pomnażają się brygady, rozkwita „sentymentalna prawda o bohaterstwie" oznaczając za pachem swym coraz to nowe miasta. Szerzy się propaganda nie tylko oddania cesarskiego co cesarskie, ale propaganda wiary we własne siły i godności narodowej — wyścigu pracy.

Kopciuszek-Legun zostaje nagrodzony i „nie dzieje się wcale źle kaczkom, które z błotka wyleciały zawcześnie". Za wiarę we własne siły, za godność, za odwagę myśli i działania przemawia najmocniejszy argument szczęścia. Legjoniści stali się fermentem czynu i entuzjazmu w narodzie, pomnażają się brygady. Fakt przemawiania do swych towarzyszy broni, za którymi się tak często Komendant ujmował, od których „wyfasował papierośnicę i pospołu pił „wódeczność" nadaje mowom jego głęboki ojcowski ton uczuciowy, przez który stają się innemi od wszystkich i bardzo polskiemi.

Mówi do legjonistów, ale poprzez ich głowy. „Ale ja nietylko do was należę — należę do wszystkich a tem samem i do oszczerców także". Miłość ojcowska wodza sięga poprzez ich głowy. Obejmuje naród z całą namiętnością nieraz gorzką, pojoną tylokrotnie straszliwą żółcią i octem zawodów, spostrzeżeń hańbiących, doświadczeń i zdrad od tych, od których właśnie żą-

dałby tak wiele. — „Gdy tchórzy bez liku, gdy zdrada tak łatwa, gdy pieniądze tak cenione, to fałszu musi być dużo".

Miłość tego człowieka, który nazywa się miljon zamienia się w piołun, w bat świszczący, w chłostę szyderstwa i oburzenia tem straszniejszą, im bardziej była uczuciem do narodu przepojoną.

Niech sobie czekają politycznych oświadczeń — znajdą kazania gorzkie będące zarazem batem i ostrogą. Nauki z doświadczeń i przemyśleń bezsennych, kiedy tysiąc razy przemierzyły samotnię nieznużone kroki. Czy będzie to mowa lwowska o oszczerstwie drogo wynajmowanem i stolicy kłamstwa, czy państwie na kłamstwie budowanem, dążącem do zagłady, czy straszna mowa warszawska o siostrach wyrodnych „które nie robiły reklamy" z pracy w brudnych domach i fałszach historycznych, czy mowa kaliska o płatnych obcych agenturach, wszędzie bije na alarm serce umęczone wzgardą do kochanych. Moralizatorstwo jest zazwyczaj wodą jałową która obmywa nienadługo. Moralizatorstwo poparte życiem własnem niezwyczajnem, prawdą bohaterstwa i płynące z tak głębinnego uczucia — człowieka który jest miljonem — nie pozostaje bez śladu. Nie gardzi przytem żadnym wstrząsem, aby naród do opamiętania przywołać — obudzić. Chwyta się namiętnie środków ostatecznych zgrzytów rozpaczliwych, słów policzkujących pełnych wzgardy namiętnej — nienawiści z umiłowania płynącej.

Mowy Komendanta są naukami wieszcza, który czuje za wszystkich, są przypowieściami, sprawiającemi polityczne efekty.

Człowiek, który tyle czasu w więzieniach i samotności przesiedział, nauczył się rozpatrywać wszystko z wielkiego oddalenia swojej niezmiennej samotności, teraz już wśród ludzi — samotności swojego ducha. Zjawiają się tedy wszystkie fakty w chmurze rozważań i przeżyć przeanalizowanych, przemyślanych, przeczutych aż do dna. Przedziwna szczerość, którą wiara legjonowa w nim wywołuje wprowadza nas w tajemnicę duszy wielkiego człowieka przepaścistej jak trójdenne jezioro litewskie, pełnej nieodgadnionych wirów, krynic i głębin. Dusza wodza, człowieka dziwnie głęboko czującego, poety i myśliciela.

Mowa wileńska do dawnych mów dodała ton nowy najczulszych, najsubtelniejszych przeżyć, lirykę przyrody i humor pogodnej anegdoty.

Ale wszystkie te nauki, chłosty, gawędy i przypowieści mają poza tem wszystkiem szczególny sens. Albowiem rzekł Komendant: „Ja szukam uderzeń, które burzą, a nie takich, które sprawiają tylko satysfakcję gestem".

Jankowska-Oryńżyna.

MIĘDZYNARODOWY ZJAZD PODŻEGACZY ŚWIATA

Najbliższe zadania. — Opinja Stalina. — Bucharin o wrogach komunizmu.

W Moskwie trwają już 2 tygodnie gorączkowe prace szóstego kongresu III Międzynarodówki. Bierze w nich udział 350 przedstawicieli 54 krajowych partyj komunistycznych. Do prezydjum weszli — prezes egzekutywy Bucharin, Stalin, Klara Zetkin, Taelman, Cachin i jeszcze innych 28 „luminarzy" światowego bolszewizmu. Od poprzedniego, piątego, kongresu minęło już cztery lata, a w tym okresie czasu zaszło wiele wypadków, zarówno w polityce międzynarodowej, jak i wewnątrz samego Kominternu, które od podstaw zmieniły sytuację. Z tego powodu władze III Międzynarodówki uważały za wskazane zrobić bilans dotychczasowych zdobyczy i wskazać drogi dalszej pracy. Moment ten nie jest bez znaczenia dla polityki europejskiej, gdyż nie ulega wątpliwości, że w warunkach powojennej Europy Komintern zawisnął ciężką chmurą nad stabilizacją stosunków politycznych i ekonomicznych, a w niektórych wypadkach — wręcz uniemożliwia taką stabilizację.

Miarodajne koła III Międzynarodówki oceniają obecną sytuację bardzo optymistycznie. Dopatrują się w niej działania sprzyjających dla siebie czynników. Do takich, ich zdaniem, należą: wzrost znaczenia mocarstwowego Rosji Sowieckiej, wzmocnienie partyj komunistycznych w niektórych krajach Europy, jak Niemcy, Francja i Polska, wzmożona konkurencja powojennych imperjalizmów oraz tendencje rewolucyjne ludów kolonjalnych. Czy Rosja Sowiecka istotnie jest tak potężną, jak o tem głoszą towarzysze komuniści, to jeszcze wielki znak zapytania, ale, że sam fakt jej istnienia pod rządami „moskiewskich carów" w połączeniu z hojnemi kredytami kasy Kominternu, zasilanej perjodycznie przez rząd Sowietów, stanowi potężną dźwignię światowej rewolucji — to już nie może ulegać żadnej wątpliwości. Z tego punktu widzenia, panowie komuniści istotnie rozumują zupełnie logicznie. Należy się tylko dziwić cierpliwości Europy, która toleruje na swym kontynencie to osie gniazdo międzynarodowych podżegaczy, jakiem jest dzisiaj Moskwa.

Ostatnie wybory we Francji i w Niemczech wykazały istotnie pewien wzrost żywiołów maksymalistycznych. Co do Polski takie twierdzenie komunistów trzeba przyjąć z poważnem zastrzeżeniem, gdyż zaobserwowany u nas przy wyborach marcowych pewien wzrost głosów komunistycznych jest poważnie hamowany przez gatunkowy walor konsolidacji społeczeństwa na platformie ogólnopaństwowej, dotąd u nas nigdy nie spotykanej, której daje wyraz obecny obóz „jedynki". A więc w tym kierunku nadzieje komunistów są nieco — przeholowane.

Że w polityce światowej istotnie daje się widzieć lekkomyślny powrót do przedwojennych narowów, w postaci konkurencji starych i nowonarodzonych imperjalizmów oraz związanego z tem wyścigu zbrojeń— tego nie będziemy kwestjonować i zdajemy sobie dokładnie sprawę, że jest to nic innego, jak woda na młyn

agitacji komunistycznej i praca „pour le roi de Prusse". Jednak nadspodziewanie zgodne przyjęcie inicjatywy pokojowej sekretarza stanu Kelloga rokuje pewne nadzieje, że i w tym kierunku może zajść w najbliższej przyszłości pewna poprawa.

Co do rewolucji ludów kolonjalnych, to obecnie da się zaobserwować nieznaczne wprawdzie polepszenie. Chiny pod wpływem potężnej indywidualności Czang-Kai-Szeka wyrwały z Kuomintangu hydrę komunizmu i kroczą pewnym krokiem ku odrodzeniu nacjonalizmu. Narazie przynajmniej nic nie zapowiada naruszenia tej częściowej stabilizacji stosunków chińskich, a stosunki są pod tym względem i wiele lepsze, niż przed paru laty. W Egipcie po energicznych zarządzeniach kedywa nastąpiło pewne uspokojenie, a w Indjach trwa wprawdzie podziemne wrzenie, ale akcja nieprzejednanych nacjonalistów spotyka już wewnątrz samego narodu induskiego poważną opozycję, która stoi na platformie komisji Samuelsa.

Kongres Kominternu zaliczył do najpilniejszych zadań partyj komunistycznych — przygotowanie obrony Rosji Sowieckiej od interwencji imperjalistycznej (?!!!) oraz umiejętne podsycanie rewolucji w krajach kolonjalnych a więc: w Chinach, Indjach, Indonezji i Egipcie — w pierwszym rzędzie. Zwłaszcza taktyka i strategja tych komunistycznych operacyj kolonjalnych ma być opracowaną z całą precyzją, przyczem duży nacisk kładzie się na odpowiednie wyzyskanie klasy włościańskiej ludów kolonjalnych i ścisłe dostosowanie organizacji i programu lokalnych partyj komunistycznych do specyficznych warunków rozwoju politycznego, kulturalnego i ekonomicznego krajów kolonjalnych.

Poważne znaczenie przywiązują miarodajne koła Kominternu do opracowania nowego programu III Międzynarodówki, który ma dać wyraz pewnemu nawrotowi od haseł „wojennego" komunizmu do bardziej umiarkowanego „nepu" politycznego w stylu Stalina. Rzecz charakterystyczna, że jednocześnie z tem rewizję dotychczasowego programu partyjnego zaczęły II Międzynarodówka (socjalistyczna) oraz angielska Partja Pracy. Czy nie jest to dowodem tego, iż po wojnie nastąpiła, zwłaszcza w okresie ostatnich kilku lat, tak daleko idąca zmiana warunków rozwoju społecznego, iż ten ogólny prąd rewizjonistyczny dotarł nawet do tak konserwatywnych w swej istocie grup, jakiemi są: zaślepieni w swym fanatyźmie komuniści, zasklepieni w arkanach materjalizmu dziejowego wyznawcy Marksa z drugiej Międzynarodówki oraz pełni tradycyj angielskich Traide Unionów — labourzyści Mac Donalda.

Odnośna rezolucja Kominternu nazywa nowy program partji: „najwyższą syntezą doświadczenia międzynarodowego ruchu proletarjackiego, programem walki o światową dyktaturę proletarjatu, programem walki o światowy komunizm". Musimy przyznać, iż pobożne życzenia komunistów są powiedzmy łagodnie — bardzo nieumiarkowane.

Jeden z głównych filarów Kominternu — Stalin w swym referacie w sposób następujący określa zadania partji komunistycznej na najbliższą przyszłość: *„po-pierwsze, nieustanna walka na całej linji z socjaldemokratyzmem, po-drugie, — utworzenie jednolitego frontu klasy robotniczej i obcoplemiennej ludności kolonjalnej, a to w celu odwrócenia niebezpieczeństwa wojny, a gdyby do wojny już przyszło — celem przetworzenia wojny imperjalistycznej na wojnę społeczną, dla rozgromienia faszyzmu, obalenia kapitalizmu, ustanowienia władzy rad robotniczych, wyzwolenia kolonij i zorganizowania obrony pierwszej na świecie respubliki robotniczej"*. Oto ten komentarz, jakim zaopatrzył Stalin nowy program Kominternu. Ciekawe, że w każdym wypadku sowieccy politycy nie omieszkają wspomnieć o konieczności „obrony" Rosji Sowieckiej, której nikt i nic nie grozi, o czem zresztą wiedzą doskonale i sami mówcy. Jest to widocznie popłatny trick oratorski, obliczony na naiwność słuchaczy, a mający na celu odwrócenie uwagi wynędzniałych z głodu proletarjuszy rosyjskich od bolączek smutnej rzeczywistości sowieckiej i zwrócenia jej na rzekome niebezpieczeństwo zewnętrzne, grożące ojczyźnie. Doskonały sposób — odziedziczony przez bolszewików w prostej linji od Mikołaja II, Stołypina i jego ministrów. Historja się powtarza i to najczęściej na swych przeciwnych biegunach!

Bo też sytuacja wewnętrzna w Rosji Sowieckiej nie należy bynajmniej do najlepszych. O ile Komintern może się poszczycić pewnemi zdobyczami w innych krajach europejskich, o tyle u siebie w domu przechodzi obecnie wielce niebezpieczny dla siebie moment przesilenia, połączony z pewnem kurczeniem się własnych wpływów w całym szeregu dziedzin życia społecznego. Bije na alarm sam prezes Kominternu — Bucharin, który dopatruje się w rzeczywistości rosyjskiej istnienia czterech następujących wrogów Kominternu, a mianowicie: zamożnego włościaństwa, odrodzenia religijnego, odrodzenia ruchu narodowego na Ukrainie oraz wybujałego antysemityzmu. Są to, zdaniem Bucharina, te cztery procesy społeczne, których dalszy rozwój w dotychczasowej skali może łatwo doprowadzić do bezpośredniego zagrożenia komunizmu w Rosji. Zwłaszcza niepokoi Bucharina renesans uczuć religijnych, obserwowany wśród szerokich mas ludności. Bucharin z żalem stwierdza, że Kom. Zw. Młodz. już oddawna przestał być wyłączną organizacją młodzieży rosyjskiej, gdyż po za nim powstają i rosną znacznie w siły religijne organizacje młodzieży, które, choć zakonspirowane, rozwijają się doskonale. Dochodzi nawet do tego, że robotnicy fabryk państwowych fundują własnym kosztem kaplice, co przejmuje Bucharina zgrozą i powoduje go do gorzkich wyrzutów pod adresem rosyjskich towarzyszy.

Tyle Bucharin o wrogach komunizmu. Jeśli więc obecny kongres Kominternu obraduje pod świeżem wrażeniem ostatecznej likwidacji opozycji, która, za wyjątkiem Trockiego i Radka, w haniebny sposób skapitulowała przed wszechsilnym Stalinem, — to głośne triumfy tego ostatniego bynajmniej nie usposobiają optymistycznie bardziej przezornych wodzów III Międzynarodówki, zwłaszcza Bucharina. Ten ostatni nie ukrywa swych obaw, by odniesione zwycięstwo nie okazało się... Pyrrhusowem.

Z. K.

JUGOSŁAWJA PO ZGONIE RADICZA

W ubiegłą niedzielę złożono na cmentarzu zagrzebskim zwłoki Stefana Radicza, przywódcy politycznego chorwatów, którego dosięgły kule rewolwerowe posła Raszicia w gmachu skupczyny wespół z posłami Pawłem Radiczem i Basariczkiem. Obaj, Paweł Radicz i Basariczek, zmarli bezpośrednio niemal po belgradzkim dramacie; Stefan Radicz chorował długo, od trzeciej dekady czerwca i w pierwszej dekadzie sierpnia życie zakończył, wzywając w swym testamencie politycznym swych chorwackich współbraci do zachowania spokoju. Spokój ten w czasie pogrzebu zmarłego posła istotnie został zachowany, choć początkowo dochodziły pogłoski, jakoby stronnicy Radicza mieli nie dopuścić do udziału w pogrzebie tych, których za „moralnych współwinowajców mordu belgradzkiego", to znaczy solidaryzującycn z koalicją serbską, popierającą były rząd jugosłowiański uważali. Być może, iż nie byli istotnie na tym pogrzebie, chcąc uniknąć wszystkiego, coby mogło stosunki serbsko - chorwackie zajątrzyć, — depesze bowiem wspominają jedynie o rodzinie zmarłego, o przedstawicielu panującego i o posłach z koalicji demokratyczno - chłopskiej, jako biorących udział w pogrzebie zagrzebskim.

Ze śmiercią Stefana Radicza schodzi do grobu mąż stanu, który w stopniu niezwykle silnym wpływał jeśli nie na losy całej Chorwacji, to przynajmniej na poglądy polityczne najliczniejszej tam warstwy włościańskiej, darzącej go bezwzględnem zaufaniem i popularnością wprost bezgraniczną. Był on niewątpliwie wyrocznią dla ludu chorwackiego, ale też wzorem Pytji delfickiej staje się obecnie nieodgadnionym dla obserwującego sprawy te zdaleka, tak wielokrotnie bowiem zmieniały się dążenia i poglądy polityczne najwybitniejszego męża stanu i parlamentarzysty chorwackego.

Był on początkowo gwałtownym przeciwnikiem serbów i już w r. 1895, w ówczesnym kraju korony św. Szczepana, jakim była Chorwacja, brał udział w manifestacjach przeciwserbskich. W pięć lat potem zaledwie Stefan Radicz jest zwolennikiem unji serbsko - chorwackiej, wiąże się z irredentą południowo - słowiańską, rosnącą wciąż w siły na gruncie węgierskim. Od r. 1900 przez lat osiem przechodzi od pomysłów unji, jakaby połączyć mogła wszystkich południowych słowian, do polityki jawnie i namiętnie przeciwserbskiej, wszystko bowiem, cokolwiek robi, traktuje z pasją, z temperamentem niesłychanie gwałtownym typowego południowca. W r. 1914 wzywa ojczyznę swą do walki po stronie Habsburgów, oświadcza, iż jest szczerym stronnikiem państw centralnych i trzyma się tego programu aż do r. 1917, by jednak w następnym już przejść do zjednoczenia z serbami, które istotnie dokonało się wreszcie po ostatecznem rozpadnięciu się monarchji austro - węgierskiej.

Będąc przywódcą chorwatów w parlamencie budapeszteńskim, Stefan Radicz jest tym przywódcą w dalszym ciągu w niepodległem już Królestwie serbów, chorwatów i słoweńców, które początkowo, w myśl życzeń twórców traktatu wersalskiego i Europy powojennej stanowić miało federację tych trzech ludów, ale z którego sędziwy mąż stanu Serbji, Pasicz uczynił jednolitą politycznie Jugosławję, niwecząc w zarodku tendencje federalistyczne. Młodem państwem owładnął nieomal żywioł serbski tak bezapelacyjnie, że aż na tem tle rodzi się śród niezadowolonych chorwatów i słoweńców nowa wykładnia nowych trzech liter alfabetu, będących skrótem nazwy nowego państwa. Inicjały S. H. S. według tej wykładni znaczyć mają, iż serbowie chcą posiąść wszystko w Jugosławji, istotnie bowiem administracja państwowa znajduje się niemal wyłącznie w rękach serbskich.

Przeciw tej zbyt może zaborczej polityce serbów Radicz zaczyna prowadzić grę separatystyczną, co wreszcie pociąga za sobą uwięzienie trybuna. Następnie, gdy go w r. 1920 uwolniono, staje się republikaninem i przez lata 1923 i 1924 prowadzi agitację przeciwserbską w Londynie, Wiedniu, a nawet w Moskwie, gdzie ze swą radykalną partją włościańską zgłasza akces do III Międzynarodówki.

I tu wszakże nie cechuje go stałość przekonań. Aresztowany w r. 1924 z rozkazu Pasicza, po kilku miesiącach oświadcza się za unją z serbami, za wspólną monarchją, za konstytucją jugosłowiańską, wreszcie, wstępuje do rządu wraz z najbliższymi swymi współpracownikami, by przetrwać w tych poglądach do lutego r. ub. W tym momencie bowiem następuje jeszcze jedna, ostatnia już ewolucja w przekonaniach chorwackiego trybuna, który w skupczynie belgradzkiej zaczyna prowadzić namiętną jak zawsze, nie znającą miary, nie liczącą się z niczem opozycję. Na tle tej opozycji właśnie padają w czerwcu r. b. w parlamencie belgradzkim strzały rewolwerowe, które przecięły pasmo żywota trzech opozycjonistów, ale nie przytłumiły, raczej przeciwnie, rozżarzyły tembardziej i pogłębiły rozdźwięki, istniejące dotychczas pomiędzy Serbją a Chorwacją.

Rozdźwięki te są zrozumiałe zupełnie na podłożu tych różnic religijnych i kulturalnych, jakie dzielą poszczególne części składowe dzisiejszej, w tyglu wojennym stopionej w jedno Jugosławji. Zbyt długo Chorwacja, Słowenja i Dalmacja były pod wpływami pobliskich Włoch i rządzącej tam dynastji Habsburgów, by nie przepoiły się do gruntu kulturą zachodnio - europejską, rozwijającą się na gruncie religji rzymsko - katolickiej. Serbja a z nią Czarnogórze przesiąkły nawskroś wpływami bizantyjskiemi prawosławia, wraz z którem napływało tam owo „światło ze Wschodu", które dla zachodnio - europejczyków niezawsze bywa do przyjęcia. Wreszcie Bośnia i Hercegowina, gdzie panowanie Turcji przetrwało najdłużej, wykazują znaczny procent serbów-muzułmanów, posługujących się tym samym wprawdzie co i ich naddunajscy współbracia językiem, ale różniących się od nich wyznaniem, wierzeniem i kulturą, jakie się na tem podłożu uformowały.

Zagadnienie więc jednolitości państwowej, czy też federacji, obejmującej trzy przynajmniej zasadni-

cze człony Jugosławji nie jest łatwe do rozstrzygnięcia. Za jednolitością przemawiać mogą jedynie chyba podobieństwa języków serbskiego, posługującego się przecież cyrylicą, oraz chorwackiego i słoweńskiego, gdzie panuje alfabet łaciński. Przemawiać może dalej konieczność utworzenia silnego, zwartego bloku, jakiby się opierać mógł skutecznie ewentualnym zamachom zzewnątrz, przeciw którym żaden organizm państwowy nie bywa nigdy zabezpieczony. Wreszcie przemawiać może i to, że granice pomiędzy zasadniczemi członami Jugosławji nie zarysowują się nigdzie dość wyraziście, lecz przeciwnie we właściwej katolickiej Chorwacji niemal trzecią część zaludnienia stanowią serbowie prawosławni, którzy z kolei stanowią zgórą połowę ludności Bośni, tworząc wreszcze poważne mniejszości narodowościowe w Słowenji i Dalmacji.

To więc przemieszanie pobratymczych z języka narodów o różnych kulturach utrudnia niewątpliwie zorganizowanie państwa w duchu federalistycznym, choć z kolei kwestją być może sporną, czy na drodze federalizmu raczej nie uzyskałaby Jugosławja owej zwartości, owej spoistości struktury wewnętrznej państwa, do której sędziwy mąż stanu starej Serbji, Paszicz iść chciał drogą rządów cenrtalistycznych. Federalizm, nie tłumiący odrębności lokalnych czy prowincjonalnych, ale umiejący dobyć i rzucić przed oczy ideały wspólnej i jedynej ojczyzny, oraz konieczność obrony jej przez wszystkich bez wyjątku jej synów, może również prowadzić do zcementowania państwa, do którego prowadzić miały niewątpliwie szczytne w założeniu swem ideje Paszicza.

Dziś, w momencie, gdy dążenia federalistyczne w Chorwacji pogłębiły się tembardziej po śmierci Stefana Radicza, Jugosławja zdecydować się będzie musiała na definitywne roztrzygnięcie swej polityki wewnętrznej. Zależeć to będzie w znacznej mierze od tego, kto obejmie władztwo dusz po zmarłym trybunie. Jeśli się jednak wie, jak gorąca miłość ojczyzny cechuje wszystkih naszych południowych współbraci z nad Dunaju i Sawy, wierzyć należy, iż rozstrzygnięcie to wypłynie z najlepiej pojętych potrzeb kraju ojczystego, którego dobro jako całości górować będzie nad dobrem któregokolwiek z poszczególnych członków Jugosławji.

St. Poraj.

RUCH OŚWIATOWY EMIGRACJI POLSKIEJ WE FRANCJI

Dnia 22 lipca b. r. odbyło się w Lille walne zebranie Polskiego Uniwersytetu Robotniczego we Francji. W zasadzie tego rodzaju doroczne zebrania są rzeczą zwykłą w organizacjach, i rzadko wnoszą wiele nowych oświetleń. Do takich rzadkich zebrań należy właśnie zebranie w Lille.

Wystąpili na nim w dyskusji poraz pierwszy licznie słuchacze Uniwersytetów Ludowych z Polski oraz działacze przygotowani na kursach o charakterze tych Uniwersytetów przez sam P. U. R. we Francji. Dla należytego utrzymania polskości wśród wychodźtwa, nie wystarcza wysłanie pewnej liczby nauczycieli na emigrację. Należy tutaj jeszcze z łona samego wychodźtwa wychować zdolniejsze jednostki na działaczy oświatowych i przywódców organizacyj robotniczych, którzyby w przyszłości świadomi celów, mogli na oddalające się psychicznie od swego kraju masy emigrantów podziałać odpowiednio atrakcyjnie. Przygotowaniem takich działaczy zajmuje się P. U. R., początkowo przez wysyłanie zdolniejszych synów górników na kształcenie do Uniwersytetów Ludowych w kraju, a później przez przygotowanie ich we Francji, zgodnie z miejscowemi potrzebami.

Ci właśnie działacze robotniczy, już jako członkowie P. U. R. obradowali nad potrzebami oświatowemi i postulatami wychodźtwa, wnosząc wysoki poziom do dyskusji, rzadko spotykaną bezinteresowność i entuzjam pracy dla wychodźtwa i kraju ojczystego. To też dopiero dziś ocenić można, iż zabiegi i środki materjalne wydane na kursy dokształcające i kursy dla działaczy oświatowych nie poszły na marne.

Gruntowna dyskusja nad postulatami oświatowemi wychodźtwa pozwoliła ustalić wytyczne oświaty na emigracji na najbliższe lata. Ujęte w formę rezolucyj, które poniżej podaję, postulaty te zainteresują chyba kraj rodzinny. Oto one:

I. *W sprawach ochron.*

Zebranie walne P. U. R. biorąc pod uwagę dużą wartość ochrony polskiej dla dziecka robotnika pozbawionego na obczyźnie środowiska wychowawczego polskiego, stwierdza, iż dział organizacji ochron polskich na wychodźtwie jest najważniejszy i najbardziej podstawowy z prac prowadzonych przez P. U. R. Zebranie poleca Zarządowi P. U. R. podjęcie energicznej akcji zmierzającej do rozszerzenia sieci ochron polskich we Francji i zwraca się do czynników polskich, a w szczególności do Ministerstwa Oświaty o poparcie usiłowań P. U. R. w dziedzinie organizacji ochron w kolonjach robotniczych.

II. *W sprawie kursu dla kandydatek na ochroniarki.*

Zebranie walne Uniwersytetu biorąc pod uwagę niedostateczność dotychczasowej akcji w organizacji ochron, brak środków materjalnych na otwarcie większej ilości przedszkoli, tudzież stwierdzając dodatni wynik kursów dokształcających, poleca Zarządowi prowadzenie nadal podjętych prac, zmierzających do przygotowania zastępu pracowniczek oświatowych po kolonjach robotniczych. Zebranie walne stwierdza potrzebę istnienia w każdej kolonji przynajmniej jednego dobrze zorganizowanego kompletu dzieci w wieku przedszkolnym. Zebranie apeluje do ogółu rodziców o poparcie poczynań Uniwersytetu w dziedzinie prac nad utrzymaniem polskości wśród młodzieży.

III. *W sprawie bibljotek.*

Zebranie walne P. U. R. we Francji, biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenie w szerzeniu pracy oświatowej wśród wychodźtwa, stwierdza, iż podstawą rozwoju pracy oświatowej w kolonji winna być dobra bibljoteka publiczna w kolonji.

Dotychczasowe rozrzucenie książek po różnych organizacjach, utrudnia tylko pracę czytelnianą wśród wychodźtwa we Francji. Zebranie walne Uniwersytetu, stwierdzając wielką doniosłość organizacji bibljotek wśród kolonji robotniczych, poleca Zarządowi P. U. R. dążenie do planowego zorganizowania bibljotek publicznych w kolonjach, oraz dążenie do łączenia poszczególnych bibljotek przy organizacjach robotniczych w bibljoteki publiczne, na czele których stanęliby odpowiednio przygotowani bibljotekarze.

W tym celu Zarząd P. U. R. winien dążyć do stworzenia dłuższych kursów bibljotekarskich, w którychby odpowiednio dobrani kandydaci zostali należycie przygotowani do racjonalnego prowadzenia czytelnictwa wśród wychodźtwa.

IV. *W sprawie organizacji młodzieży.*

Zebranie walne P. U. R. stwierdza, iż na czoło prac oświatowych organizacji, należy wysunąc sprawę organizacji dorastającej młodzieży w kolonjach. Zebrani stwierdzają, iż wśród młodzieży polskiej na emigracji daje się zauważyć mała czynność w pracach oświatowych. Pozostawienie nadal tego stanu rzeczy pozbawi emigrację w przyszłości obrońców polskości wśród kolonji. Zebranie apeluje do odpowiednich czynników w kraju, tudzież do społeczeństwa polskiego na wychodźtwie o energiczniejsze zajęcie się wychowaniem młodzieży polskiej we Francji i współdziałanie w pracy oświatowej kół młodzieży z P. U. R.

V. *W sprawie samokształcenia.*

Walne zebranie, biorąc pod uwagę duże znaczenie samokształceniowe konkursów ogłaszanych przez P. U. R. zwraca się do działaczy robotniczych z apelem o podejmowanie opracowania samodzielnych tematów ogłaszanych w prasie przez Uniwersytet.

VI. *W sprawie akcji samopomocowej.*

Walne zebranie Uniwersytetu zwraca się do całego wychodźtwa z apelem o rozwinięcie energicznej akcji, zmierzającej do utrzymania polskości wśród emigracji przez usilne popieranie działalności P. U. R., zmierzającej do organizacji ochron, bibliotek, kursów dokształcających konkursów, i wogóle wszelkiej akcji oświatowej, prowadzonej przez P. U. R. wśród robotników we Francji.

W tym miejscu wypada mi zaapelować do rodaków w kraju o większe zrozumienie i większą troskę dla potrzeb wychodźtwa, które jest przecież krew z krwi, kość z kości polskiem wychodźtwem i przy polszczyźnie chce pozostać.

Paryż, w lipcu.

Janusz Wiącek.

PIERWSZY POLSKI LAUREAT W EPINAL

Jeszcze w r. 1906 założył Syndykat Cotonier de l'Est wyższą szkołę tekstylną w Epinal, której zadaniem miało być kształcenie młodzieży na wyższych techników i inżynierów dla przemysłu włókienniczego. Rok za rokiem rozwijała ta szkoła coraz wydatniejszą działalność, aż wreszcie w r. 1922 rząd francuski uznał oficjalnie jej stopnie naukowe.

To uznanie rządu pociągnęło za sobą podniesienie autorytetu szkoły. Jest ona bowiem jedyną szkołą tekstylną, w której uczniowie przechodzą tak zwany „wyższy kurs oficerski". Dyplomy z ukończenia nauki podpisuje minister oświaty, a nazwiska uczniów po zdaniu egzaminów ogłaszane są w Journal Offciel — urzędowym dzienniku francuskim.

Wysoki poziom nauki, połączone metody teorji i praktyki stawia szkołę w Epinal w rzędzie najsławniejszych i najwybitniejszych uczelni wyższych we Francji.

Nic więc dziwnego, że co roku mury tej szkoły zapełniają nietylko francuzi, ale bardzo liczni cudzoziemcy, wśród których są narodowości: polska, szwajcarska, hiszpańska, chińska, japońska, egipska, włoska, serbska, rumuńsko-perska, gruzińska, armeńska, rosyjska i t. d. Te liczne cudzoziemskie rzesze studentów nadają jej charakter kosmopolityczny.

Od czasu powstania tej szkoły żaden z cudzoziemców nie otrzymał dyplomu inżyniera tekstylnego (Brevet d'ingénieur textil). W okresie 22 lat (rok zał. 1906) wychodzili z tej uczelni dyplomowani inżynierowie ale... francuzi, — cudzoziemcom trudno niezmiernie było go otrzymać.

Z jakąż więc radością i zarazem dumą dowiedzieliśmy się, że z pośród tylu cudzoziemców w Epinal, pierwszy **Polak** w tym roku ukończył niezwykle zaszczytnie ten zakład naukowy. Jest nim p. **Zygmunt Nawrocki,** jeden z tych młodych ludzi, dla którego praca i spełnienie obowiązku jest nietylko osobistą ambicją, ale nadto wypełnieniem zaszczytnej misji polaka zagranicą. P. **Nawrocki** zdobywa dyplom inżyniera tekstylnego, zdobywa medal złoty i pieniężną nagrodę jeszcze za złożenie ostatnich egzaminów z **odznaczeniem.**

Ta palma pierwszeństwa wybicia sę z pośród wszystkich cudzoziemców na czoło uczniów w Epinal przynosi nam prawdziwy zaszczyt. To najlepszy dowód tężyzny i zdolności Polaków, to zwrócenie na polską młodzież uwagi, na jej wytrwałość i sumienność w pracy naukowej.

Jakże byłoby dobrze, gdyby naszą młodzież kierowano do wyższych zakładów technicznych, tembardziej, że przemysł nasz potrzebuje sumiennych i wykwalifikowanych sił technicznych.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

PROLEGOMENA DO DYSKUSJI O KRYTYCE LITERACKIEJ

Wszczęła się, chwalić Boga, jaka taka dyskusja o krytyce literackiej w Polsce, ale brak w niej metody i linij wytycznych. Należy ustalić, jakie braki wykazała krytyka i podać wnioski konkretne, jaką ta krytyka być ma? Przy sposobności byłoby dobrze zadać sobie pytanie co krytyka czyni wogóle i czem jest krytyk? Pedagogiem, czy demagogiem? Wtajemniczycielem, czy stręczycielem? Atletą, który każdy literacki wiatrak z obowiązku atakuje, czy markizem Pozą, układnym komplimenciarzem?

Krytyka literacka jest wiedzą, powinna nią być. Każdy światły literat wie dobrze, ile to lat mozolnych dociekań i badań potrzeba, zanim się wyszkoli słuch i wzrok, a nadto ten instynkt specjalny, który nieomylnie wskazuje czy mamy do czynienia z dziełem rzetelnego talentu, czy też ze snobistycznym grafomanem. Ale takie wyszkolenie zmysłów i ogólnego odczuwania nie wystarcza, gdy chodzi o to, aby napisać krytykę objektywną. Miłośnik powiada: Podoba mi się; nie podoba mi się. To znaczy, że dana rzecz jest podobna do miłośnika, a więc już dobra, albo niepodobna, a tem samem niedobra. Takie bowiem jest pierwotne znaczenie słowa: podobać się. Krytyk literacki musi się wytłumaczyć, dla czego daną rzecz uważa za dobrą lub złą, musi podać argumenty solidne, obowiązujące możliwie wszystkich i wszędzie.

Do dziecinnych bajek trzeba raz na zawsze zaliczyć gadanie o sztuce, która nie ma wobec społeczeństwa żadnych zobowiązań. Bezinteresownych artystów niema: każdy z nich dziełem swej sztuki pragnie w taki lub inny sposób przemienić pewną dziedzinę życia, a śród twórców nie brak i Aleksandrów Macedońskich, którzy oktawami i tercynami zawojowują na stałe świat cały. Poeta, który chce tylko bawić, tylko imponować swojem zabawnem wygadaniem, jest popisowym wesołkiem i niczem więcej. Wywinie kozła paradoksu, potańcuje śród mieczów metafor, błyśnie szychem dowcipu i wyciąga rękę po datek uznania. Jeśli niewybredna publiczność rzuca mu nietylko grosz, ale podaje wieniec laurowy, to sama potem winna, że dużo jest wesołków, którzy „robią w słowie", mało natomiast poetów-bohaterów, poetów-zdobywców i poetów-proroków.

Nasza kultura literacka jest niesłychanie powierzchowna. Niedawno temu czytałem, że poeta nie jest obowiązany do dawania koncepcyj filozoficznych, ale jest obowiązany pisać dobre wiersze. Nie powiedziano nam, niestety, co to są dobre wiersze. Dante w swoich ponurych tercynach zamknął cały kosmos, Heine złośliwym żartem przemieniał psychikę swego narodu, Baudelaire budził uwagę całego świata swojemi refleksjami. Czy ich wiersze były dobre? Tak. Dlaczego były dobre? Bo wypowiadały człowieka, były wyrazem czegoś, co istniało w duszach miljonów i co daremnie szukało swego słowa. Dobry wiersz musi mieć jakąś treść, a ta treść, nolens-volens musi być w taki czy inny sposób filozoficzna. Poeta jest twórcą, ale zarazem jednym z czytelników swego utworu. Tysiące czytelników wnoszą do pewnego utworu tysiące szczegółów rozumienia i odczuwania. Trudno sobie nawet wyobrazić te olbrzymie Ramayany i Mahabharaty, które dokoła jądra sonetu czy powieści powstają w czytelnictwie. Poeta nie stoi gdzieś daleko poza społeczeństwem, ale przeciwnie, wszystkiemi siłami przebija się w sam środek życia, aby był widziany i słyszany. Sztuka jest sprawą społeczną. Dobry wiersz to mądra treść, bo najmisterniejszą formę można wszak wypełnić melodyjnemi, ale bezsensownemi glosolalami.

Doczytałem się też w jednym z artykułów polemicznych wymierzonych przeciw krytyce, że właściwym krytykiem jest czytelnik. I znowuż nie dopisano: jaki? Mniszkówna może powołać się na największą liczbę czytelników, a liczbą wydań swoich książek bije Żeromskiego. Nie chodzi więc o czytelnika byle jakiego, ale o czytelnika krytycznego, który czegoś żąda od sztuki i umie dane dzieło sztuki ocenić. Krytyk jest także czytelnikiem, a mianowicie czytelnikiem specjalnie przygotowanym do czytania i oceny dzieł poezji. Ale praca krytyczna jest trudna, żmudna i niewdzięczna, gdy chodzi o stosunki nasze. Krytyk prócz odpowiedniego talentu musi posiadać wiadomości rozległe i wszechstronne, w żadnym razie nie mniejsze od wiadomości przeciętnego nauczyciela gimnazjum, wyższego urzędnika lub duchownego. Aby uczynić zadość swoim obowiązkom, musi krytyk dane dzieło nietylko przeczytać, ale je przestudjować, zanalizować, przemyśleć. Książka licząca 250—300 stron wymaga najmniej 8—10 godzin do mechanicznego przeczytania. Dodajmy do tego pracę analityczną, rozbiór krytyczny, uzasadnienie i napisanie krytyki, a będziemy mieli w sumie jakieś 15 godzin pracy minimalnie. Jeśli krytyka wyniesie 250 wierszy po dwadzieścia groszy, to krytyk otrzyma za dwa ośmiogodzinne dni robocze 50 złotych to jest tyle, ile dobry lekarz zarabia w ciągu jednej godziny przy wizytach na mieście, albo adwokat otrzymuje za jedną dłuższą konferencję. Zauważmy, że ani lekarz, ani adwokat nie muszą przygotowywać się specjalnie do udzielenia pewnych rad, że nikt nie żąda od nich eleganckiej stylizacji recept, dowcipu, trafności sądu.

To znaczy, że praca krytyka w Polsce należy do najniewdzięczniejszych i uprawiana bywa przez maniaków, rozmiłowanych w sztuce. To maniactwo wyzyskiwane bywa przez wydawców i redaktorów. Krytyk dostaje od czasu do czasu tak zwaną zaliczkę, w administracji różnych pism ma należności sięgające nieraz tysięcy, zapisuje sobie w notatniku ilość wierszy, mnoży je przez sakramentalne dwadzieścia groszy i cieszy się, że mu się od kogoś należy 1200 czy 1600 złotych, na które dostaje co drugi— trzeci miesiąc po sto albo dwieście złotych. To też w Polsce takiej krytyki, jaka

istnieje w Niemczech lub we Francji być nie może. Niema u nas warunków ani dla Soudayów, ani dla Bremondów, a już wcale dla takich krytyków literatury, jakich mają Niemcy. Niebardzo bowiem wiadomo dlaczego akurat ludzie najzdolniejsi mają być koniecznie głodomorami. Czterdziestoleni prokurent albo dobry korespondent porządnej firmy otrzymuje miesięcznie do tysiąca złotych, mieszkanie, opał, światło, urlop, tantjemy. Wie on, gdzie się kupuje bawełnę i gdzie się sprzedaje madapolam albo pończochy a jeśli jest korespondentem, to umie napisać stereotypowy list po niemiecku, czy po polsku i zna sekrety pewnej firmy. Pogadajcie z takim prokurentem, zarabiającym 30 do 40.000 tysięcy złotych rocznie za sześć godzin dziennie podpisywania listów, łażenia po biurze lub podróżowania pierwszą klasą w interesach firmy, a zobaczycie na jakim poziomie umysłowym stoją ludzie dużych zarobków.

Literat musi znać kilka języków, bezwarunkowo lepiej od korespondenta handlowego, musi mieć za sobą jakieś solidne studja uniwersyteckie i bezustannie musi te studja uzupełniać gromadzeniem wiadomości aktualnych. Nie można się więc dziwić, że zamiast krytyki mamy recenzję wyłącznie i że ta recenzja jest najczęściej wyrazem chwilowego usposobienia jej autora. A to usposobienie nie bywa dobre. Przypada termin różnych opłat i wypłat, poczta poranna przynosi list z miłem zapewnieniem redaktora, że w tych dniach administracja prześle zaliczkę, na biurku leży kupa książek, o których trzeba pisać. Rzeczy dobre pomieszane z płodami najhaniebniejszego grafomaństwa, snobistycznego i ustosunkowanego... Co tu dużo gadać: krytyka naukowa, solidna, poważna, nie opłaca się w Polsce. Recenzje robi się po sherlockowsku: spojrzy się na tytuł, zajrzy się do dwóch—trzech miejsc książki i dalej! Sto wierszy — dobrze! Dwieście? Można i dwieście. Taka praca, jaka płaca.

Krytyka polska nie jest sprawą krytyków i redaktorów; jest to kwestja par excelence *społeczna*, a łączy się ona z analfabetyzmem tak zwanych klas oświeconych. Nie do wiary, a jednak fakt, że w Czechosłowacji tłumaczenia autorów polskich rozchodzą się niekiedy w większej liczbie egzemplarzy, niż w Polsce sprzedaje się oryginału.

Nie mamy ani części tych czasopism literackich, jakie widzimy już nie we Francji i w Niemczech, ale właśnie w małej Czechosłowacji. Partje i szkoły mają u nas swoje czasopisemka literackie o poziomie ogromnie nierównym i kapryśnym, bo zależnym od mnóstwa przypadków i wypadków. I rzecz dziwna: poezja wychowuje ludzi przeciwko sobie. Młodzieniec chodzący do szkoły, ma czytanki przeładowane ładnemi wierszykami, w głowę wbijają mu dramaty Słowackiego i Krasińskiego, arcydzieła Mickiewicza i poematy innych twórców, ale w taki dziwny sopsób, że na długie lata pozostaje w słuchaczu tylko jedno uczucie: gruntownego obrzydzenia.

Inny znowuż typ wychowany na wierszykach czytankowych jest przekonany, że wszystko zaczyna się i kończy na zgrabnej liryce. Młodzieniec polski nie myśli tedy o tem, aby zmajstrować nową ulepszoną maszynę do przędzenia lnu i zbudować wielką przędzalnię (zrobią to Anglicy, Niemcy, Szwedzi), ale cały wysiłek skierowuje na małpowanie kiepskich wierszy uznanych poetów.

Ta masa grafomaństwa, jaka nas zalewa, to także objaw braku krytyki solidnej. Mamy gołosłowne uwielbienia i zachwyty dla pewnych nazwisk, nie mamy krytycznego do nich stosunku. Do poezyj i poezyjek recenzent dopisuje swoje dytyramby i lawina rośnie dopóki nie oberwie się skutkiem własnego ciężaru i nie zwali na oszołomione głowy. Nie mamy jeszcze ani jednego fejletonu, który analizowałby utwory czołowe współczesnej poezji, a jednak utwory te aż się proszą o analizę. Po rozbiorze takiego „arcydzieła", które grafomanizuje całą młodzież literacką, nie pozostaje z niego nic, prócz niesmaku i zdumienia, że „toto" mogło tak długo zawracać ludziom głowy i płodzić naśladowców. Złośliwość, impertynencja, brak elementarnej solidarności i życzliwości społecznej i wszechludzkiej, ani śladu jakiejś idei, czy ideału, egzotyzm i samoubóstwienie, żonglerstwo słowem, przelewanie z pustego w próżne przy dużem wygadaniu poetyckiem — oto wszystko. Gdy kiedyś krytyk przy pomocy dokładnego szczegółowego rozbioru pokaże pierwiastki, z jakich dufna impertynencja składała inwektywy ciskane w twarz urbi et orbi społeczeństwu, jak sprytny egzotyzm okadzał samego siebie, aby wreszcie rozbujać wszystkie kadzielnice bezmyślności, jak reklama na poczekaniu rozdawała laury, na które wielkość i zasługa musiały czekać nieraz dziesiątki lat — będzie wstyd. Nicość naśladowana gorliwie, płodzi nicość. *Abyssus abyssum invocat*... Jeśli poezja jest prawdą narodów, to czas zastanowić się nad tem, jak daleko odeszliśmy od Jana Kasprowicza albo choćby od mądrej szlachetnej Bronisławy Ostrowskiej.

Potrzeba nam wielkiej idei. To już jest komunał, którego uzasadniać nie trzeba. Nie może się bez niej obyć poezja. Ale w poezji coraz niepodzielniej panować zaczyna małostka, drobiażdżek, ornamencik. Nie buduje się piramid, ale dłubie się szpileczką na jednej z cegieł cudzych monumentów. Jakieś zabaweczki wyrabia się ze słów i słówek, niepoważne, niemądre. Poeta chce być żonglerem, wesołkiem, chce bawić i rozśmieszać, a w razie najgorszym epatować. Chodzi już niekiedy o znalezienie nowego fidrygałka, zakrętasika, plameczki...

A przecie sprawa stoi tak: Czy życie ma sens, czy go nie ma? Czy jest Bóg i czy chce czegoś od człowieka? Skąd się wywodzimy i dokąd zmierzamy? Czy dobrze jest, że bogaty kapitalista wyrzuca na bruk tysiące ludzi chcących pracować? Czy sprawiedliwem jest to, że dyrektor małej fabryki „zarabia" rocznie 100 tysięcy, a robotnik zarobi w pocie czoła akurat jeden tysiąc? Czy trzeba się zgodzić z tem, że jest dokoła tyle nędzy moralnej i fizycznej, że na stopniach świątyń chrześcijańskich siedzą nasi ślepi bracia w Chrystusie, chromi, niemi, obdarci, zawszeni? Czy dobrze jest, że nasze siostry w Chrystusie (tak!) włóczą się po ulicach i kupczą swojem ciałem, a my je wdeptujemy w błoto?

Oto kilka pytań pod adresem wielkiej poezji. Fidrygałki, miłostki, wzruszonka naskórkowe — do djabła z tem! Poezja to świat ogromny, a ten świat ma swoje bieguny północne i południowe, poświęcone krwią gorącą Scottów i Amundsenów poezji, ma swoje

drogi do Indyj jeszcze nie odkrytych i Gaurizankary, na które jeszcze nikt się nie wspiął. Precz z paskudnym konwencjonalizmem i małpowaniem! Mamy dwie literatury: rewelacyjną, objawieniową, dzieło wielkich serc i wielkich umysłów, które żyć będą tak długo, jak długo część ludzkości mówić będzie po polsku, i mamy literaturę konwencjonalną, płody poronione, żyjące parę godzin, czy parę dni. Trzeba otworzyć szeroko oczy i zdać sobie sprawę z tego, że poezja zabawką nie jest i być nią nie może. Słowo, które nie objawia wielkich prawd, nie odsłania nowych perspektyw jest słowem daremnem, demoralizującem słuchaczy. Za dużo naśladujemy, za mało chcemy być naśladowani. Unikamy myśli analitycznej, krytycznej, oddajemy się sentymentom rozgrzeszającym od wysiłku umysłowego. To obezwładnia i ugnuśnia.

Niech nam poeci dają zdobycze szlachetnego serca, niech nam pokazują co dostrzegli w perspektywie wieczności, niech usiłują wydrzeć życiu tajemnicę, niech organizują wyprawy w niezbadane krainy ducha. Pójdziemy za nimi i czcić będziemy ich wielkość, ale gdy nadużywają słowa polskiego na fidrygałki i głupstewka, musimy zawołać: Hola!

Ideę przewodnią ma dziś w Polsce tylko garść ludzi, którzy razem z Piłsudskim gotowi byli oddać życie dla wielkiej sprawy i oddawali je bez wahania, gdy zachodziła potrzeba. Ale cóż? Literatura tych ludzi została grubo przesłonięta przez literaturę ludzi gospodarnych, roztropnych, chytrze zadekowanych przed niebezpieczeństwem czasu wojny. Pozytywnej myśli ideowej przeciwstawiają oni swój relatywizm moralny, swoje etyczne désinteressement i zwyciężają. Ta podfilipszczyzna poetycka zgodzi się z tłumem zawsze: gromada ma rację. I tej gromadzie rzuca ta poezyjka swoje fidrygałki, malowaneczki, cacuszka, wzruszonka, ornamenciki, opowiadając jej nieraz grubo nieprzyzwoite rzeczy. Ideę reprezentuje u nas prócz tego jeszcze grupa ludzi z przeciwnego końca: poeci proletarjaccy. Ci ludzie czegoś chcą, dążą do jakiegoś celu, tylko że ich środki i ich cele są sprawami niewspółmiernemi, bo słowo, które nie trafia do adresata, lecz bawi wyłącznie snobów, jest słowem wołającego na puszczy.

Słyszymy wołania o zmianę frontu. Dobrze, ale jaki jest front obecny? Pominąwszy garść legjonistów, czuwających nad sprawą wolności, nigdzie żadnego frontu niema, bo poezja proletarjacka to drobny i bardzo zróżnicowany odcinek. Aby zmieniać front, trzeba najpierw wytworzyć jakiś front ideowy, zwrócić żywych ludzi ku jakiejś wiecznej rzeczywistości. Dzisiaj najwybitniejsi poeci, a raczej uznawani za takich, stoją frontem do zwierciadła, jak Narcyz zapatrzeni w swoją wielkość. Z nielicznemi wyjątkami nie widzą i nie chcą widzieć bolączek dnia dzisiejszego i nie solidaryzują się z człowiekiem cierpiącym i płaczącym dla sprawiedliwości. Niechże się ozwie rzetelna, poważna krytyka i niech ich zanalizuje gruntownie! Niech pokaże społeczeństwu ich wewnętrzną nicość, ich absolutną bezideowość, a wtedy z natury rzeczy na czoło wysuną się ci, którzy mają światu coś do powiedzenia, albo już mu coś powiedzieli, ale przez wesołków zostali przegłuszeni.

Paweł Hulka-Laskowski.

ROŚLINY

Śmierć — to czucie roślinne,
Miłość — czucie człowiecze, —
W roślinne, a nie w inne
Ciało duch się oblecze.

Niech oczami głodnemi
Świat ten czuję i widzę,
Zanim spłynę do ziemi
Po zielonej łodydze.

I niech potem się stanie,
To co stać się powinno:
Jeszcze jedno rozstanie
Z własną duszą bezczynną.

Chodzą zioła po świecie,
I rośliny i maki,
A wy o tem nie wiecie
Kto to taki, kto taki...

Zioła czynią pokutę
Oślepłemi rosami,
Ale soki zatrute
Płyną snami za nami...

Piję soki te płynne,
Miłość głuszę i gaszę,
Wskrzeszam dusze roślinne
Inne, inne niż nasze.

I już tak mnie zostawcie,
Byście w ziemię nie wrośli,
Miłość ludzką wybawcie
Od uroków złych roślin.

Jan Brzechwa.

NA MARGINESIE

Czy Pan Wojewoda Kielecki?

Poruszaliśmy niedawno w Dodatku Literackim Głosu Prawdy sprawę skreślenia nagród literackich miast Dąbrowy Górniczej i Sosnowca na instancję referenta przy województwie kieleckiem p. Serafina Macieja. Nie chcąc, — broń Boże, — by interwencja nasza skierowana na ręce p. Min. Spraw Wewnętrznych, generała Składkowskiego mogła choć w minimalnej części obciążać odpowiedzialność służbową pana Serafina Macieja, zauważyliśmy, iż referent ten zajęty prawdopodobne aż nadto ciężką walką, jaką toczą samorządy miast robotniczych z naciskiem wielkiego przemysłu, — niema zapewne dość czasu dla spraw pozornie błahych, w istocie swej jednak delikatnych i poważnych, do jakich zaliczyć trzeba kwestję poparcia literatury przez miasta robotnicze.

Aby sprawę uprzystępnić wysunęliśmy koncepcję wdowiego grosza, uważając, iż ważniejszym on

jest w sprawach kultury od najważniejszego wsparcia bogaczy, oraz, że nie pozwolić biedakowi na jego wdowią szczodrobliwość, — to postępek zgoła nie licujący ze zrozumieniem podstawowych elementów demokracji i postępu.

W odpowiedzi na nasz list do p. generała Składkowskiego w sosnowieckim Kurjerze Zachodnim wyskoczył jakiś Filip z konopi, broniący żarliwie p. Serafina Macieja pod egidą, — oto — „jak się kopie dołki pod urzędnikiem".

Z odpowiedzi tej wnosić można, że pisze ją ktoś wybitnie przez p. Serafina Macieja inspirowany i drżący o jego karjerę służbową. W tej ostatniej materji nie mamy żadnych zastrzeżeń: Cieszy nas, że urzędnicy polscy przywiązują należną wagę do swych postępów nad drabinie służbowych rang. Cieszy nas, że, jak widać z „dołków pod urzędnikiem" i p. Serafin Maciej bardzo dba o swą karjerę służbową. Z dbałością tą łączy zapewne należną pilność i pracowitość. Ponieważ jednak z głosu obrony p. Serafina Macieja wynika, iż ten ostatni nie rozumie tej sprawy, omijamy na tej drodze srogą instancję referenta samorządowego przy województwie kieleckiem i zwracamy się do pana wojewody kieleckiego, który w tych materjach decyduje.

Pański referent, panie Wojewodo, uważa, iż są potrzebniejsze sybsydja, niż nagrody literackie. Pański referent uważa, iż dwa miasta robotnicze nie mogą sobie pozwolić na zbytek wdowiego grosza dla literatury polskiej. Tembardziej, że nawet owe nagrody literackie, rozdają miasta robotnicze **pod kątem partyjnym.**

) Czy Pan podziela tę opinję? Czy uważa Pan, że **udzelenie nagrody literackiej Andrzejowi Strugowi przez miasto Sosnowiec — było uczynkiem partyjnym?** Czy uważa Pan, Panie wojewodo, że zamiar udzielenia skreślonej przez pańskiego referenta nagrody miasta Dąbrowy Bolesławowi Limanowskiemu, — jest zamiarem partyjnym? Czy i Pan sądzi, że wspaniała kilkudziesięcioletnia praca naukowo-publicystyczna Limanowskiego, że książki Jego, uczące nas ongiś młodziutkich Niepodległości polskiej — to praca partyjna?!

Czy Pan też, Panie Wojewodo, uważa, że gdy niema na buty, czy na chleb, to już nie wolno myśleć o książce Czy Pan to myśli, dygnitarz tej właśnie Rzeczypospolitej, która, — gdyby w Niej ludzi nie było, bez butów i bez chleba w nastraszniejszej niewoli i ubóstwie książki drukujących, — kto wie czyby właśnie powstała w tym blasku wszystkich polskich województw?

Więc jakżeto, spytać możemy, panowie wojewodowie? Pan wojewoda Górnośląski ogłasza świetny konkurs na całą Rzeczypospolitą, wspaniały konkurs literacki, — a Pan, zaraz o miedzę, kilku groszy na ten sam cel odmawia? Pod bokiem samego pana ministra Składkowskiego rozdaje Warszawa nagrody literackie i artystyczne? Pan wojewoda łódzki cierpi u siebie w mieście tę nagrodową rebelję literacką i tosamo pan wojewoda wileński i tosamo lwowski i tosamo poznański (bankietując swego czasu pono na cześć nagrody — nie partyjnej może dla pana Serafina Macieja, — literackiej nagrody dla Dmowskiego), a tylko miastom robotniczym nie wolno, — co wolno innym?!

*

Sos nie starczy za potrawę.

W trakcie dyskusji nad sprawą utworzenia Akademji Polskiej wspomniałem między innemi, że p. K. Irzykowski sam swego czasu był zwolennikiem Akademji. P. Irzykowski w jednym z licznych swych listów do mnie, — zaparł się tego. By poprzeć me twierdzenie i obalić nieprawdę, przypomniałem wówczas p. Irzykowskiemu, iż brał czynny udział w sprawie utworzenia instytucji, która uchodziła swego czasu za nieoficjalną Akademję Polską; że sam dla niej tytuł wymyślił (Straż Piśmiennictwa Polskiego), że spierał się i dyskutował obficie, co do zakresu prac tej instytucji, słowem, że powołując się na jego (Irzykowskiego) udział w tych sprawach nie plotkuję i nie kłamię, lecz piszę prawdę, on zaś Irzykowski zapiera się jej.

Przeciwnik mój przyparty do muru, w liście swym (Wiadomości Literackie Nr. 31) p. t. „Odcienie Plotki", przyznaje się ostatecznie do winy, jak przystało jednak fanatycznemu winowajcy, prawdę zamazać pragnie wszelakiemi **odcieniami**, wreszcie, — ewentualnie, — straszy sądem koleżeńskim.

Z listu p. Irzykowskiego dowiadujemy się nareszcie i od niego samego, że jako członek Zarządu Stow. Dziennikarzy i Literatów brał udział w sprawie tworzenia Straży P. Polskiego. Ale, — „miał zastrzeżenia", oraz, czynił wtedy wszystko, co czynił, — jako lojalny członek Zarządu.

Nie jako Irzykowski. Jako członek Zarządu.

Nazwę dla tej instytucji wymyślił, owszem, — lecz było to „żartem".

O zasady przyjęcia toczył boje, lecz nic to nie znaczy, gdyż później brał udział w innym jakimś konkursie — na buty.

Straży nie atakował na Zarządzie ani nawet w czasie oficjalnych uroczystości z powodu „fałszywego wstydu" (nie wybrali p. Irzykowskiego do Straży, — mimo że ją tworzył!!) a potem z powodu „wściekłości w sercu". Ostatecznie sprawę w sobie przerobił i „powiedział sobie basta — dość tej komedji".

Okazuje się zatem, że p. Irzykowski (bez względu na to, kiedy miał w sercu wściekłość, a kiedy znów mówił sobie — basta, kiedy grał komedje i kiedy zaprzestawał komedjanctwa) zmuszony polemiką przyznaje się do wszystkieog, co imputowałem Mu, podlewa jednak to wszystko własnym lirycznym sosem.

Cóż trudno, jak w każdym innym wypadku tak i w tym: — sos nie starczy za potrawę.

***

Piękny przekład.

W Instytucie Wydawniczym „Renaissance" ukazały się w ostatnim czasie dwie ciekawe książki z literatury obcej, mianowicie Leo Perutza „Trzecia Kula" i „Ludzie z pod bieguna" Edwarda W. Stran-

da. Przekładu „Trzeciej Kuli" dokonał p. Marceli Tarnowski. Nazwisko to nie jest powszechnie znane w literaturze, tem więcej cieszyć może każdego, — iż trudny przekład Perutza wypadł doskonale. Zachowano tu nietylko zarchaizowany język, lecz składnię, lecz rytm prozy pisarza, osiągając na niwie przekładów sukces pierwszorzędny. Szkoda, że nie można tego samego powiedzieć i że nawet o poprawności mówić nie można z racji przekładu pracy Stranda, dokonanej przez jedno z najwybitniejszych piór literatury polskiej.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

Z TRYLOGJI BOHDANA ŁEPKY'EGO — „MAZEPA"

CAR PIOTR U MAZEPY

(Dokończenie).

Puhary napełnione starym węgrzynem, od którego po sali rozlały się zapachy tak miłe. Hetman wstał i wygłosił jedyny podczas całej uczty toast w ręce najdostojniejszego gościa.

Dziękował za cześć, która dzisiaj spotkała go, jego generalną starszyznę i cały kraj, życzył carowi Matuzalemowych lat i Samsonowej siły, aby wrogów i przeciwników pod nogi swoje rzucił, i sławę wiekuistą zdobył. — A nas, pomocników swoich, — kończył — którzy nawet duszy swej nie poszczędziliby dla ciebie, obyś i nadal w pamięci swej i w łaskawości monarszej zachować raczył.

Towarzystwo wysłuchało stojąc niedługiego, ale po mistrzowsku wygłoszonego toastu, suto podmaszczonego łaciną i cytatami z pisma świętego. Naraz niektórzy omal, że puharów z rąk nie wypuścili, bo jeszcze hetman nie skończył przemowy, jak z wałów ryknęły armaty.

Car podniósł się. O głowę wszystkich przewyższał. Lewą ręką puhar trzymał, prawą ściskał drobną dłoń Mazepy.

— Dziękuje ci, Iwanie Stepanowiczu. Sławną ucztę urządziłeś nam dzisiaj, tylko prochu nie trwoń, gdyż go na wroga trzeba.

— Moje młyny namielą tej mąki ile zechcą. Będzie czem gości gościć.

— Tak myślisz?... I jeszcze radzę ci—mówił car hetmanowi do ucha,—abyś z temi paniami polskiemi raz już pokończył, z księżniczką Dolską naprzykład. Czas już, hetmanie, czas. I tak ludzie mówią, żeś katolik, chociaż ja w to nie wierzę. Wierz mi, — nie wierzę!

Hetman uśmiechnął się, a car przygarnął go do siebie i ucałował, jakgdyby z bata trzasnął.

Poczem puhar do ust swoich podniósł i pił, pił, póki dna nie zobaczył.

Wypiwszy siadł na swój fotel wysoki, czerwonym safjanem wybijany.

— Uf! Jaki upał! Dobrze, że much tu niema. Bo gdyby od nich jeszcze opędzać się trzeba...

Służba zmieniała wodę, w wielkich naczyniach po kątach sali dla ochłody stojącą. Wlewano do niej różany olejek, otwierano górne okna i wachlowano cyprysowemi gałązkami. Carskie oczy patrzały którędyś daleko, malały, powlekały się mgłą i zwolna, jak zmierzch wieczorny na okna, jęły się spuszczać powieki.

Jego oblicze, przed chwilą jeszcze tak groźne i niepewne, łagodniało. Nabierało wyrazu starego dziecka, któremu śni się jakiś sen.

Może rewja floty wzdłuż brzegów jego nowej stolicy, na którą przybyła Dnieprem po rozbitych porohach czarnomorska flotyla, może nowy pałac carski nad Bosforem, wiosenny przegląd wojska na placu Saskim, koronacja w Kijowskiej Sofji świętej, a może tylko pełne piersi carycy, na których usnął a ona swą szeroką dłonią jego kędziory gładzi i cicho mówi:

— Śpij, mój chłopaczku niepohamowany, śpij!

Mienszikow palec do ust swoich dziewczęcych przyłożył:

— Pst!

I w hetmańskiej bankietowej sali zrobiło się cicho, jak w pałacu zaklętej królewny. Kto gdzie stał, tam do miejsca przykipiał. Carscy ludzie oddech w sobie zawarli. Mienszikow dał ręką znak — wstali, — pokazał drzwi — wyszli.

Hetmańska starszyzna wysunęła się za nimi.

Na głowę cara lały się strumienie gorącego, kijowskiego słońca. Hetman własną ręką zasunął ciężkie aksamitne firanki przy oknach i zatrzymał bronzowy zegar holenderski, na którym czterech trębaczy miało właśnie wytrąbić godzinę czwartą.

Hetman z Mienszikowem wyszli z sali ostatni...

Car spał...

Przywykł do tego od dawna.

I w Moskwie i nawet w nowym Petersburgu, który dopiero budować zaczynał, zrywał się o godzinie piątej rano. Jak wicher po pustyni, tłukł się po kasarniach, urzędach i placach, na winnych i niewinnych spędzając gniew niepohamowany, bijąc, hańbiąc, na śmierć skazując, aż po obiedzie, zjadłszy za trzech, a wypiwszy za dziesięciu w krześle swem snem niewinnego dziecięcia zasypiał.

Hetman, wiedząc o tem, przygotował dla cara w przyległej izbie wspaniałe, iście carskie łoże, ale czy to anyżówka z węgrzynem spętały nogi carowi, czy go tak złote słońce kijowskie rozmarzyło i ukołysało, dość że — car spał już tu.

ESTETYKA PRZYBYSZEWSKIEGO NA TLE ROMANTYKI NIEMIECKIEJ

Aby przejść do określenia istoty sztuki, jakie daje Przybyszewski na tomach „Życia", trzeba naprzód określić istotę „nagiej duszy" i mózgu w ich wzajemnym stosunku. Podobnie jak Maeterlinck, Przybyszewski przyjmuje zasadniczy dualizm wewnętrznego życia. Wyższy pierwiastek — to dusza, niższy — mózg. Mózg ogranicza się do rozumienia zwykłej, banalnej i codziennej strony życia, przez co rodzi w sztuce naturalizm, bezduszną, ordynarną

sztukę dla pospólstwa. Oprócz mózgu ma człowiek w sobie wyższy pierwiastek: duszę. Ustawiczne ziemskie wcielania nie zabijają w niej absolutnej świadomości, którą częściowo objawia się w mózgu, jako osobiste „ja" częściowo zaś w snach, wizjach i potężnych, niezwykłych napięciach ducha. Przybyszewski tworzy własną kosmogonję. Jego „Requiem aeternam" zaczyna się od słów: „Na początku była płeć". Płeć to proprzyczyna, sens i warunek wiecznego rozwoju, najgłębsze jądro indywidualizmu, początek wiecznie tworzący i wiecznie niszczący, siła, zlewająca i rozdzielająca pierwiastki. Autor „Homo sapiens" z dwóch punktów widzenia — historycznego i psychologicznego — przeprowadza ideę, że anarchja i bezgraniczna swoboda instynktów płciowych jest jedynym i najsilniejszym objawem ludzkiego indywidualizmu. Najpełniej objawia się „naga dusza" w ekstazie płciowej. Nietsche, Maeterlinck i Wilde wskazali trzy drogi, prowadzące do pełnego wypowiedzenia się jednostki. U Nietschego drogą tą jest bezwzględne służenie swojemu „ja" u Maeterlinck'a — mistyczne życie duszy, u Wilde'a — gra wyobraźni, estetyzm. Przybyszewski dorzuca drogę czwartą: pożądanie i popęd płciowy.

Z zasadniczej rozbieżności między mózgiem, a duszą, t. j. między analizą, a syntezą, wypływa głęboka różnica, oddzielająca „sztukę dzisiejszą" od sztuki wczorajszej. Sztuka naturalizmu odtwarzając rzeczy, a nie stany duchowe, wychodziła z logiki i mózgu, uważała świat zewnętrzny za coś absolutnego, przyjmowała tylko zmysłowe kojarzenia wyobraźni. Dlatego też Przybyszewski nazywa ją „bezdrożem duszy". W przeciwieństwie do sztuki starej — „sztuka nowa" jest emanacją duszy, jako czynnik syntetyzujący, jest odtworzeniem istności, t. j. duszy, niezależnie od tego, czy się ona we wszechświecie, czy w ludzkości, czy też w pojedyńczem indywiduum objawia.

Dążąc do syntezy czystej, do syntezy jak najdalszej od pierwiastków analitycznych logiki i mózgu, nie ma nic wspólnego z moralnością lub amoralnością. Etyka dla „nagiej duszy", jako wytwór mózgowy, istnieć nie może. Z tego wypływa zasadniczy punkt estetyki Przybyszewkiego: „Sztuka jest odtworzeniem życia duszy we wszystkich jej objawach, niezależnie od tego, czy są dobre, czy złe, brzydkie, czy piękne". A dalej: „Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, gdyż jest odbiciem absolutu: — „duszy". Tak pojęta sztuka staje się najwyższą religją, a kapłanem jej jest artysta". W pojęciu Przybyszewskiego artysta stoi ponad społeczeństwem i ponad wszelką normę, jako jedyna jednostka wyższa, uświadamiając sobie pełną potęgę duszy. Artysta ten to „ipse philosophus, daemon, Deus et omnia". Odtwarzając stany własnej duszy, chwyta on rzeczy, słowem nie ujęte, poza złudną rzeczywistością dostrzega związek człowieka z przyrodą, a świat ogarnia nie uchem lub okiem, lecz tajemniczym, syntetyzującym organem. „Jest on zarówno święty i czysty, czy to, gdy oczy w niebo wzaże i światłość Boga przenika, czy też gdy odtwarza największe zbrodnie, najwstrętniejsze brudy odkrywa. Bo nie zna on praw i ograniczeń, które objawy duszy ludzkiej w to lub owo koryto wtłaczają, zna on jedynie tylko potęgę tych przejawów, równie silną w cnocie, czy w zbrodni, w rozpuście, czy w skupieniu modlitwy".

„Confiteor" Przybyszewskiego streszcza się w paru naczelnych postulatach: 1) Sztuka, jako bezpośredni objaw absolutu, wyobraża wszystkie jego objawy, niezależnie od tego, czy są dobre czy złe, brzydkie, czy piękne. 2) Artysta zna tylko potęgę, z jaką dusza na zewnątrz wybucha. 3) Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, gdyż jest odbiciem absolutu — duszy. 4) Kapłani tej sztuki nie znają żadnych praw, ani moralnych, ani społecznych, nie znają żadych względów, każdy objaw duszy jest dla ich czysty i święty, skoro jest potężny. Jeżeli teraz to estetyczne wyznanie wiary rzucimy na tło romantyki niemieckiej, punkt wyjścia znajdziemy w filozofji Fichte'go, odrzucającej Kantowską „rzecz samą w sobie" jako istność niepoznawalną, a więc zbyteczną. Możliwość, realnego poznania świata, leżącego poza jaźnią, sprowadza się do zera. Dlatego też każde naśladowanie rzeczywistości jest absurdem, a twórczy duch ludzki jest jedyną osią świata. Romantycy idąc za Fichte'm, przyjmują jaźń za centrum świata. Indywiduum, duch bohaterski, genjusz — oto Bóg, wyłaniający światłość z chaosu, Bóg, porządkujący naturę i życie według praw, jakie sam stanowi. „Erst durch das Ich kommt Ordnung und Harmonie in die tote, formlose Masse. Allein vom Menschen aus verbreitet sich Regelmässigkeit und um ihn herum bis an die Grenze seiner Beobachtung — und wie er diese weiter vorrückt, wird Ordnung und Harmonie vorgerückt".

W tych i pokrewnych zdaniach Fichtego można się doszukać pierwszego zarodka romantycznego poglądu na świat i życie. Twierdzenie, że „świat — to jaźń" było punktem wyjścia. Nach Innen geht der geheimnissvolle Weg" — powie później Novalis, a Tieck w „Williamie Lovellu" będzie poczytywać świat za obraz swojej wyobraźni, za zwierciadło, odbijające wieczność jego istnienia:

„Ich komme mir nur selbst entgegen
In einer leeren Wüsterei.
— — — — — — — — — — — —
Die Wesen sind, weil wir sie dachten.
Im trüben Schimmer liegt die Welt;
Es fällt in ihre dunkeln Schachten
Ein Schimmer, den wir mit uns brachten".

Tieck, Novalis i Schlegel posunęli kult jednostki twórczej do ostatnich krańców i utożsamili ją z Bogiem. Z tego wypłynęło całe ustosunkowanie się do sztuki, samowola artystyczna, zadanie poety, polegające na eksplikacji swej własnej, absolutnie twórczej jaźni.

Indywidualizm ludzki, aczkolwiek powstaje ze zlania się nieskończonego ze skończonem, jest nieskończonością, jako jej wyraz i odbicie. Samoobserwacja otwiera nam drzwi do obserwacji absolutu. „Nur derjenige kann ein Künstler sein, welcher eine eigne Religion, eine originelle Ansicht des Unendlichen hat". Ale tylko ten artysta zadaniu swemu sprosta, któryześrodkuje się w sobie, będzie skończoną, zamkniętą osobistością indywidualną, „ein

organischer Geist". Podstawa wszechwartości musi leżeć na dnie jego duszy.

Schleiermacher, Schlegel i Schelling, przebóstwiwszy nieskończoność, przebóstwili tem samem jej jedynego tu na ziemi zwiastuna i proroka, t. j. artystę. Stoi on ponad światem, nie znosi żadnych praw, ani ograniczeń, jest ostatecznem kryterjum wartości, bogiem, tworzącym świat. Widzimy więc, że artystę romantycznego określały prawie te same cechy, które Przybyszewski wysunął w swojem „Confiteor", że był on tak samo: „Philosophus, Deus, daemon et omnia".

Jednakże też stało między nimi zadanie: eksplikacja swojej jaźni twórczej, czyli absolutu.

— Różnemi drogami dochodził artysta romantyczny do tego celu. Najgłębszą przyczyną jego tęsknoty do nieskończoności było przekonanie, że przeznaczenie człowieka wybiega daleko poza granice ziemskiej egzystencji. Romantyk jednak posiadał środek do uciszenia tej tęsknoty: miłość. Zawierała się ona w obrębie potrzeb metafizycznych: duchowa miłość w sensie platońskim i plotyńskim, uduchowienie poznania, pociąg do zbliżenia się z boskością. W tak romantycznie pojętej i religijnie zabarwionej miłości do Boga i kobiety uciszała się tęsknota do nieskończoności. Dlatego też marzenie Novalisa o „kwiecie błękitnym" w „Henryku v. Offterdingen" było symbolicznem przedstawieniem romantycznej tęsknoty do absolutu. Bohater Novalisa, skłaniając głowę na łono kochanej kobiety, zdobywał pełne szczęście i pełne poznanie, albowiem miłość zrywała zasłonę z oblicza bóstwa w Sais.

Tyle o romantyźmie. Powracamy do artysty Przybyszewskiego, przedstawiciela „duszy nagiej", do tajemniczego maga współczesności. Pełne wypowiedzenie „twórczej jaźni" w tym wypadku „nagiej duszy" następuje także na drodze miłości. Nie jest to już jednakże uczucie romantyczne, o idealnem zabarwieniu, ale płciowe, rozpętanie instynktów samczych w stosunku do kobiety. Oto punkt wyjścia, credo kosmogoniczne: „Ich sehe die Natur als eine apokalyptische Apotheose, des ewig ragenden Phallus, der in masslos roher Verschwendung Ströme und Samen über das Allergiesst. Und nun kommt die scheussliche. Orgie von geschlechtlicher Schweinerei, wie wüste Symphonie der syphilitischen Infection" („Totenmesse").

Szereg dzieł Przybyszewskiego został wysnuty z tej jednej myśli przewodniej: „płci, jako najgłębszy podkład duszy". W „Vigilien" omawiał potęgę kobiety we wszechświecie, w „Homo sapiens" badał stosunek wzajemny obu płci, w „De profundis" rozpatrywał wreszcie ten sam popęd płciowy, jeśli między osobnikami stanie taka przeszkoda, jak związek krwi.

Wszędzie i zawsze nad poszarpaną duszą męską wznosiła się zwycięska potęga „Venus Anadyomene", a w niebo bił rozpaczliwy krzyk: „O la sale corvée de la vie".

Dalekośmy odbiegli od pojęcia miłości romantycznej. Taka miłość, będąca ukojeniem duszy, nie istniała już dla współczesnego artysty, dla artysty Przybyszewskiego. „Radosna, rozanielona dusza to dziwoląg, to koło kwadratowe i bicz z piasku. Dusza jest ponura i groźna, bo jest bólem namiętności i szałem rozmachów, bo przeżywa ekstazy wrzących chuci i potworną trwogę wszechgłębi. Stąd też, dla artysty, co nie w mózgu, ale w duszy świat przetwarza, całe życie to wieczny strach, ustawiczna rozpacz i bezsilny upadek. A właśnie miłość, to największe szczęście samca ludzkiego, staje się dla nich najgłębszym i najbardziej niszczącym bólem".

Powracam do poglądów na sztukę. „Sztuka nie jest ani „piękno" ani „ein Teil der Erkenntnisss" — obwieszczał pierwszy punkt „Confiteor". A więc, ani piękno, ani poznanie, tylko energja, potęga, z jaką dusza na zewnątrz wybucha.

Co do „piękna", to już główny teoretyk szkoły romantycznej, Schlegel powiedział, że „nowożytna poezja nie ma nic z pięknem wspólnego". W „Geschichte der Poesie der Griechen und Römer" dochodzi do wniosku, że w poezji nowożytnej przejawia się nadmiar indywidualizmu, charakterystyczności i myśli filozoficznej, że słowem, treść jej jest „interessant, pikant und frappant", podczas gdy piękno, jako substrat leży wyłącznie na dnie poezji antycznej. A więc zarówno estetyka romantyzmu jak i modernizmu odrzuca piękno; pozostaje punkt drugi: sztuka jako „ein Teil der Erkenntniss" Schopenhauera. Poezja jest wszystkiem, poezja jest „das absolut Reellę" — mówi Novalis. Do niej spływa wszystko, jak do oceanu, według słów Schellinga, utożsamia się z poznaniem i prawdą. Już Baumgarten w swojej „Estetyce" zrobił ze sztuki pierwszy stopień, wiodący do poznania. Dla Novalisa — piękno jest nietylko już drogą do poznania prowadzącą, ale i samem poznaniem. A więc poezja i filozofja to jedno — głosi romantyzm, sprowadzając subjektywne pierwiastki w obręb filozoficznego myślenia. Wewnętrzne życie indywiduum, bezpośredniość naturalnego genjusza, naturalny instynkt i zainteresowania wyłącznie estetyczne zajmują miejsce moralnego prawa abstrakcji kantowskiej i schillerowskiej etyki. Gdy dla Kanta Bóg, jako postulat praktycznego rozsądku jest teoretycznie niepoznawalny, romantycy wszędzie tworzą swego Boga, rozszerzając antropologizm Kanta na uczucie i fantazję i marząc o opanowanie rzeczy zewnętrznych zapomocą duchowej samowiedzy. „Rzeczy istnieją — mówi Tieck — ponieważ myśmy je pomyśleli", zaś Novalis, idąc za nauką Fichte'go i filozofją Hemsterhuys'a twierdzi, że rzeczywistość jest jedynie twórczym rezultatem naszych wewnętrznych organów. Sztuka przeto jest dla romantyków rzeczą najwyższą, ponieważ otwiera im owo „Sanctissimum", gdzie w pierwotnem i wieczystem zjednoczenu żądzy są przeistoczone w jeden płomień to co rozdzielone jest w naturze i w dziejach". Do jednostki, jaką stanowi filozofja i sztuka, dołącza się jeszcze religja. Według Fryderyka Schlegl'a: „Wer Religion hat, wird die Peosie reden, aber um Religion zu suchen und zu entdecken ist Philosophie des Werkzeug".

Poezja, filozofja, religja, poznanie i moralność powinny stanowić jedność i nawzajem się sobie podporządniać. Moralność, jako dedukcja, wynikająca z filozoficznego i religijnego poznania, religja — jako „Gemütsreflektierung" filozoficznego myślenia, a poznanie — jako tożsamość filozofji.

A więc wiedza, zlewająca się ze sztuką w jedną całość, jest w romantycznem ujęciu istotą ogólnego, filozoficzno - empirycznego poznania. Poeta i filozof stanowią tę samą osobistość. To połączenie rozrywa „Confiteor" Przybyszewskiego. Miejsce filozofa zajmuje prorok i mag, a „naga dusza" na tło kosmicznych zagadek bytu rzucona, nie wie nic o poznaniu, które wypływa z nienawistnego jej życia mózgu.

W studjum p. t. „Szlakiem duszy polskiej" bronił się Przybyszewski przed zarzutem powinowactwa z romantyzmem niemieckim. „Dla krytyków, którzy duchowy rodowód Przybyszewskiego wywodzą z romantyzmu niemieckiego i wpływów skandynawskich, będzie prawdopodobnie ciekawą, informacyjną wskazówką, że Przybyszewski już w 18 roku życia z świętem prawie nabożeństwem przestudjował „Literaturę słowiańską" Mickiewicza, znał nieomal na pamięć „O drogach ducha" Cieszkowskiego, a Trentowskiego „Daemonomania", skierowała go już jako młodzieńca na drogę badań nad satanizmem i naukami okultystycznemi. Polskie wpływy zawiniły, a kowala — niemiecki romantyzm — powieszono. Ohe! les psychologues".

Powyżej cytowane słowa mogą stanowić ciekawy dokument, stwierdzający raz jeszcze, że autor jest zwykle najgorszym krytykiem swoich dzieł. Nikt nie zamierza negować polskich wpływów, o których mówił Przybyszewski. To, czy romantyzm niemiecki był mu znany czy nie, jest właściwie rzeczą obojętną, nie zmieniającą faktu, że cała teoretyka „Confiteor" jest jednem, wielkiem pokrewieństwem literackiem, estetyką starą, aczkolwiek w innych słowach ujętą. Wiedział zresztą o tem sam Przybyszewski, kiedy pisał: „Nie myślę pisać żadnego programu, nie wątpię, że to, co wypowiem, już wypowiedziane zostało, ale do konkluzyj poniżej złożonych doszedłem drogą samoistną"...

Oryginalny jest Przybyszewski w literaturze polskiej, traci natomiast na oryginalności, kiedy się zacznie szukać odnośników w literaturze europejskiej. To nie jest właściwie zarzutem. Jeżeli prawie cały neoromantyzm mieścił się w romantyźmie, to cóż dziwnego, że i twórczość Przybyszewskiego czerpała stamtąd soki odżywcze. Streszczając, można powiedzieć, że Przybyszewski jest oryginalnym o tyle, o ile oryginalny był cały neoromantyzm. Zasługa polegała przedewszytskiem na ożywieniu i zapłodnieniu atmosfery polskiej, do której autor „Confiteor" wniósł szeroki powiew Europy. To co było mglistem przeczuciem i nieuświadomionem pragnienem, to, co dopiero kiełkowało na dnie dusz, on wydobył na jaw, imperatywnym, nakazującym tonem obudził do życia, dał szerokie ujście artystycznym tęsknotom. Poglądy jego były jak błyskawica na parnem niebie, rozdarły mrok błądzenia i uświadomiły.

Edward Boyé.

Z BIBLJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

DO...

(Fragmenty)

Póki w cienistych kniejach buja rzeźka łania,
I z lekkością marzenia suwa się po lesie,
Póty oko zachwyca, — lecz gdy wiatr rozniesie
Garstkę spaczonych kości, które pleśń osłania,
Któż ten widok podziwi? Tak samo myśl człeka:
Zrazu wiele ma krasy, lecz gdy się rozsypie
W garść spaczonych wyrazów, które znów poszczypie
Pióro zatrutem żądłem — i tak porozwleka
Po bladych stepach księgi — cóż z tej pastwy gadu
Zostanie powabnego?...
Kwiat od kropli jadu
Zwarzy się i przepaduie; lecz gdy przyjdzie rosa,
Otworzy modre oko i przyćmi niebiosa!
... Więc kto myślą pisarza chce się uradować,
Ten niechaj ją przytuli do łona swej duszy,
I niechaj ją obejmie uczuciem — a wzruszy
Martwe znaki — że wreszcie nie zechcą tamować
Głosu swego i będą kwilić jako stada
Nawpół zbudzonych ptaków promieniem jutrzenki,
A poznamy dopiero jak to myśl upada
Na siłach, jak to płacze, kiedy ją w sukienki
Czarnych głosek obleką...
...My więc, dla których pióro,
Powolnym wiatrem wzdęty, nieskalany jeszcze,
Tak drżąco się rozwija... my bez blasku chwały
I bez niecnoty blasku nasze czucie wieszcze
Pieśnią Bogarodzicy chrzcijmy. — A bez końca
Walczmy, od wschodu do zachodu słońca!

Cyprjan Norwid („Przegląd Warszawski" 1840.)

Wybrał Este.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Eug. La.. Częstochowa: Ostatecznie nie stało się nic złego. Na przyszłość jednak radzimy unikać tego rodzaju precedensów: Trudno obliczyć zawsze dokładnie termin ukazania się artykułu, może więc Pan narazić się na to, że obie, obesłane przez Pana redakcje, będą miały do Niego pretensje. Prosimy o dalszą współpracę, rzecz nadesłana odznacza się chwalebną sumiennością wykonania.

Ant. Mad.. Lublin: Druga przesyłka znacznie lepsza. Nie jest to jednak jeszcze forma na jaką mógłby się Pan zdobyć. Zapomina Pan o tem, że ostatecznie, — trzeba się umieć utrzymać w jednej linji. Odyss zaczęty bardzo dobrze (trzeba zmienić ten nieszczęśliwy czasownik „mgławić"). Cóż, kiedy nie umie Pan dojść do końca. Trzeba było już pozostać w nastroju Odyssa, wyciągnąć z tego ostateczne konsekwencje „tęsknoty"! Tymczasem uciekł Pan przed zakończeniem wiersza za zasłonę niezdarnego subjektywizmu. Radzimy jeszcze raz przemyśleć tego Odyssa i przerobić. Lato — słabe.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22. Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.